

ZA CZERWONYM KORDONEM

f: 9005

5672078
BIBLIOTECZKA SPOŁECZNA

Nr. 8

MIECZYŚŁAW LENARDOWICZ

ZA CZERWONYM KORDONEM

WSPOMNIENIA Z POBYTU W ROSJI SOWIECKIEJ

Bolesław Banach

WARSZAWA 1931

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

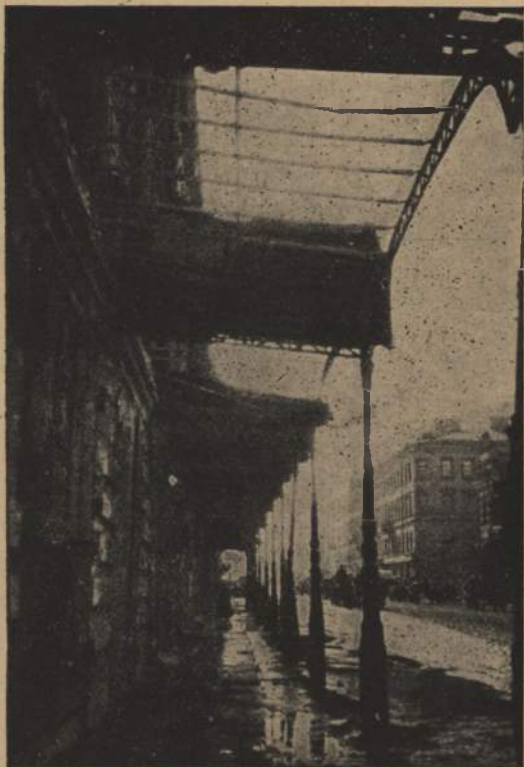
Wszelkie prawa przekładu i przedruku zastrzeżone.

W S T Ę P.

Po odbyciu trzyletniej katorgi sowieckiej na wyspach Sołowieckich zostałem wysłany na 3 lata na osiedlenie w gubernji Woroneskiej. Po drodze zatrzymałem się w Leningradzie, dawnej stolicy carów.

Idąc ulicą obserwowałem miasto; podniecał mnie jego ruch i tętno. Wszak przeszło trzy lata przebyłem zdala od środowisk cywilizacyjnych, zdala od wolnego życia. Ale im bardziej wpatrywałem się w miasto, im więcej przyglądałem się ludziom, tem więcej widziałem twarzy smutnych, zatroskanych a nawet załęknionych. Naogół w oczach wszystkich czaił się smutek, a na ustach rzadko pojawiał się radosny uśmiech. Wkrótce dojrzałem w tem wielkiem i pięknem niegdyś mieście najrozmaitsze braki. Główna ulica Leningradu, jak Newski Prospekt, ulica Litiejna i inne, pełne były śmieci i brudu. Jezdnia pełna dołów i wybojów, chodniki porozbijane. A i ludzie nędznie byli odziani; nie wyglądali na mieszkańców stolicy, ale raczej na drobnych mieszczan z pięciorzędnego miasteczka. Nie brakło też

oberwańców, odstrasżających swoim widokiem. Po niedługiej wędrówce po Leningradzie odnalazłem swoich znajomych, którzy widząc mnie ucieszyli się ogromnie i winszowali mi, że zdołałem wydostać się z katowni sołowieckiej. W trzy dni później przybyłem do Woroneża, gdzie miałem na stałe zamieszkać.



Wygląd pierwszorzędnej ulicy w Leningradzie.

Gdy po opuszczeniu pociągu wszedłem do poczekalni trzeciej klasy, uderzył mnie widok mnóstwa oberwanych dzieci kręcących się po sali.

— Co to za dzieci? — przemknęło mi pytanie przez głowę. Już chciałem się spytać o to kogoś z podróżnych, czekających na stacji, gdy nagle obstała mnie grupka dzieci w wieku od 7 do 9 lat. Maleństwa, wyciągając ręce do mnie, wołały:

— Diadzieńka, daj kapiejeczku!

— Co wy za jedni i dlaczego was tak dużo na tej stacji — zadałem pytanie.

— Jesteśmy sieroty, bezdomne dzieci, nie mamy rodziców, już dawno tak się tułamy — odrzekły na moje pytanie.

Gdy chłopiec mówił mi o swoim losie i swoich towarzyszach, lzy mu kapały z oczu. Widocznie bardzo mocno odczuwał swoją tragedję. I ja ją szybko zrozumiałem, choć przecież napatrzyłem się na Sołówkach na nędzę ludzką. Co innego jednak, gdy cierpią starsi, bardziej przysposobieni do walki z losem, często ponoszący następstwa swoich przekonań lub działań politycznych. Ale dzieci, te

małe, niewinne istoty—dlaczego one są tak srodze karane przez los, dlaczego państwo lub społeczeństwo nie zaopiekuje się nimi?

Zgarnąłem tę gromadkę dzieci i zaprowadziłem do bufetu.

— Proszę dać tym wszystkim dzieciom—zwróciłem się do bufetowej—po szklance herbaty i po bułce z kiełbasą.

Biedna, oberwana i napółbosa dziatwa zasiadła z radosnym hałasem. Po chwili nadciągnęła druga grupka i zaczęła zawodzić:

— Diadzieńka, i nam czaju...

— Siadajcie, dzieci, do stołu...

Ogółem do stołu zasiadło blisko 50 dzieci.

Maleństwa rzuciły się na skromny posiłek, jak młode wilczki.

— Czy pan ma dużo pieniędzy?—spytała mnie bufetowa.

— Wystarczy na zapłacenie tego poczęstunku dla dzieci — starałem się ją uspokoić.

— Nie o to mi chodzi. Dziwno mi tylko, że pana tak bardzo rozczulił widok tej dziatwy.

— Jakże się nie litować nad nędzą i biedą dzieci? Zresztą z takimi maleństwami warto się podzielić ostatkiem swego mienia.

— O! nie wystarczyłoby panu, aby ich wszystkich wspomóc. W Rosji liczą ich na setki tysięcy.

— Niemożliwe! — wykrzyknąłem.

— Przekona się pan sam.

Istotnie, bufetowa miała rację. Później co krok spotykało się grupki obdartej dziatwy. Ciągnęły one z wioski do wioski, z miasta do miasta traktami, lub „na gapę“ kolejami. Grupki starszych dzieci bardzo często napadały na samotnych przechodniów, zabierając im wszystko, nie pozostawiając nawet bielizny. Niejednokrotnie mordowały ludzi.

Spółeczeństwo rosyjskie, rozbite i gnęzione przez komunistów, nie miało odwagi stanąć do walki z nędzą bezdomnych dzieci, a państwo bolszewickie wogóle nie myślało o nich.

Gdy malcy zajadali bułki z kielbasą i popijali herbatę, do stołu zajętego przez dzieci podeszli trzej czekisci z G. P. U. kolejowego.

— Wont, malczugany — krzyknęli ostro do dzieci, zamierzając się na nie kolbami karabinów.

Natychmiast dziatwa rozpierzchła się po kątach sali, zapychając usta resztkami bułki i kielbasy. Tylko jeden chłopiec nie przeraził się krzyku czekistów i pozostał przy stole.

Gdy na ponowny okrzyk czekistów chłopiec nie poruszył się od stołu i dalej łakomie pił herbatę, wściekły żołdak zamierzył się kolbą w główkę chłopca. Jeszcze chwila, a główka dziecka byłaby strzaskana.

— Stój! — krzyknąłem z całej mocy i skoczywszy chwyciłem za karabin.

Zaczęliśmy się szamotać z czekistą. Wówczas dwaj pozostali czekisci skierowali lufy karabinów

w moją stronę i zmusili mnie do puszczenia karabina. Wówczas czekista, z którym przed chwilą się szamotałem, uderzył mnie kolbą w piersi tak silnie, że aż się potoczyłem na bufet. Natychmiast czekiszcisci zabrali mnie do agenta stacyjnego G. P. U., gdzie spisano protokół i kazano mi zapłacić 25 rubli za zakłócenie spokoju.

Po zapłaceniu kary wróciłem zpowrotem do sali bufetowej i począłem rozmyślać, jak się urządzić w Woroneżu. W trakcie rozmyślań przypomniałem sobie, że mam tu znajomego, byłego współtowarzysza niedoli z wysp Sołowieckich, którego zwolniono z Sołówek pod koniec 1926 roku. Był on z zawodu aktorem, co mogło mi ułatwić odnalezienie go.

Oddałem rzeczy do przechowalni i wypuściłem się na miasto. Po drodze wstąpiłem do teatru i zapytałem o pana C. Poinformowano mnie, że pan C. jest reżyserem jednego z małych teatrzyków w okolicach dworca. Powracając na dworzec przypomniałem sobie, że p. C. miał pociąg do wódki, więc jeśli jego teatrzyk mieści się w okolicach dworca, musi on często zaglądać do bufetu kolejowego.

— Czy pani zna p. C. — zapytałem bufetowej po powrocie na dworzec.

— Jakże go nie mam znać, widuję go niemal codziennie, a zresztą jest on żonaty z moją współniczką i do spółki trzymamy ten bufet.

— Proszę o jego adres.

Bufetowa wymieniła mi ulicę i numer domu. Podziękowałem i natychmiast ruszyłem na poszukiwanie byłego współtowarzysza niedoli.

Pana C. w domu nie zastałem. Była zato jego żona. Przedstawiłem się jej i opowiedziałem jakie mnie łączą stosunki z jej mężem. Poprosiła, abym usiadł i czekał na jej męża.

Powoli wywiązała się rozmowa. Najpierw ja opowiedziałem o swoim pobycie na Solówkach, później pani C. zwierzała się mi ze swych przeżyć.

Podczas rozmowy dowiedziałem się, że państwo C. są małżeństwem dopiero od czterech miesięcy, ale pani C. już źle się czuje w tem stadle.

— Dlaczego? — spytałem.

— Bo mąż mój strasznie pije. Czy i za dawnych czasów upijał się do nieprzytomności? — zaapytała badawczo.

— Owszem, wypić lubił, ale nigdy go nie widział pijanym. Ot tak, po kawalersku.

— Widzi pan, a teraz „kak razkułił, tak razkułił“. Niema na niego żadnego lekarstwa.

Jakby na potwierdzenie tych słów wtoczył się do mieszkania p. C. zupełnie pijany. Ledwo trzymał się na nogach. Wstyd mi było za niego.

— Co go mogło doprowadzić do takiego stanu? — pytałem sam siebie.

Podszedłem do niego i chwyciwszy go za rękę zawołałem:

— Wołodia! Przypominasz mnie sobie? Razem siedzieliśmy na Sołówkach.

Spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem pijaka i odrzekł:

— Jakżeby, Mietuszka, jabyśm cię zapomniął? Przecież byliśmy razem na Sołówkach, przecież cierpieliśmy.

— Soniu — zwrócił się do żony — trzeba Mietuszkę przygarnąć. Daj mu jeść i nocleg. Ja idę spać. Strasznie mi się spać chce... — bełkotał p. C. coraz niewyraźniej.

Wkrótce leżał na łóżku w butach i ubraniu i chrapał, jak koń.

— Jakżeż ja mam się czuć szczęśliwa — rzekła do mnie pani Sonia — wskazując oczyma na śpiącego pijaka-męża.

Spuściłem oczy, jakbym sam był winien.

Na drugi dzień, gdym oczy otworzył, Wołodia już był na nogach i krzątał się koło mego legowiska.

— Cieszę się, Mietuszka, że cię ci dranie z wysp Sołowieckich puścili i żeś zawędrował do mnie. Wstawaj na śniadanie.

Przy śniadaniu nie obyło się bez paru kieliszków. Zresztą pomagała nam i pani Sonia.

Gdy po śniadaniu powędrowaliśmy z Wołodią na miasto, zapytałem go:

— Powiedz mi, dlaczego tak dużo wódki pijasz? Żona się skarżyła na to przede mną...

— Cha, cha, cha, cha! Żona się skarżyła. Cha, cha, cha!...

— Mój kochany — zaczął wreszcie Wołodia — rozpiłem się na dobre, gdy się dostał w szpony mojej żony. Cha, cha, cha! Skarżyła się, a przecież to ona winna, że ja tak dużo piję. Zresztą dopóki mnie nie opuści, dopóty będę pił.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Mój kochany, przez dłuższy czas, jak ci wiadomo, byłem na emigracji na Zachodzie: we Francji i w Niemczech. Tam po raz pierwszy poznałem kobietę. Kobiety rosyjskiej porewolucyjnej nie znałem. Dopiero po powrocie do kraju i po trzyletnim pobycie na Sołówkach zetknąłem się z współczesną kobietą rosyjską. Upewniam cię, że to inny gatunek, niż kobieta na zachodzie.

— Posłuchaj, Mieczysławie — ciągnął dalej Wołodia. — Po przyjeździe do Woroneża, który mi przeznaczono po odsiedzeniu Sołówek, zacząłem występować w teatrze letnim. Ponieważ w Woroneżu nie miałem ani rodziny, ani znajomych, cały czas wolny przesiadywałem w ogrodzie.

Pewnego razu przyszedłem do ogrodu, będąc pod dobrą datą. Usiadłem na ławce, spoglądając filuternie na niewiasty. Jedna z nich wzięła to za dobrą monetę i przysiadła się do mnie. Szybko się nawiązała między nami rozmowa. Trwała ona przeszło dwie godziny. Pod wpływem alkoholu wyspowiadałem się ze wszystkiego, ukazałem jak to się

mówi „nagą duszę“. Moja towarzyszka dowiedziała się ode mnie, że dłuższy czas spędziłem zagranicą, że znam Babilon nowoczesny — Paryż — i Sodomę dwudziestego wieku — Berlin i że w dodatku jestem z zawodu aktorem. Anim się spostrzegł, jak mi zaczęła mówić po imieniu, a potem oświadczyła mi, że mnie kocha i chce zostać moją żoną.

Drogi kolego! W trzy godziny po zapoznaniu się z ową panią, byłem już jej mężem. Jakiś tam Wańka kazał mi podpisać jakieś papiery i oświadczył, że od tej chwili jestem mężem tej oto obywatelki, a ona moją żoną.

Gdy nazajutrz obudziłem się w jej mieszkaniu, wydało mi się to wszystko dziwne i śmieszne. Jednakże... zostałem mężem. To zobowiązuje i mąż mimowoli zaczyna się interesować... przeszłością żony. Jak wiesz, znajomi są zawsze usłużni i wkrótce wszystko wiedziałem o swojej „prawowitej małżonce“. Nie były to historie miłe, to też wręcz zadałem jej następujące pytanie:

— Czy to prawda, Soniu, że przede mną miałaś już czterech mężów?

— Prawda, gołąbku, ty jesteś piątym mężem. Cztery razy już się rozwodziłam.

— A dlaczego wyszłaś za mnie?

— Lubię mężczyzn i długo w stanie wolnym nie mogę żyć. A ty podobałeś mi się, bo jesteś artystą — brzmiała „przemiała“ w swej szczerości odpowiedź.

— Ale ty nie myśl — rozległ się znowu jej głos, że z tobą będę żyła wiecznie. Jak mi się znużysz, rzucę cię bez namysłu.

— Mój kochany — ciągnął dalej swe opowiadanie C. — czy ci teraz dziwne, że zacząłem zaglądać do kieliszka. Przecież jestem mężem potwora duchowego bez serca i ducha, uznającego tylko zmysły, potwora, który patrzy na małżeństwo jak na przelotny stosunek dwu płci.

— Rozwiódź się, jeśli jej nie kochasz — próbowałem radzić.

— Czy ją kocham? Nienawidzę! Dawno już rozwiódlbym się z nią, gdybym się nie bał następstw. Widzisz, ona ma bardzo rozległe stosunki w G. P. U. Gdybym jej pierwszy zaproponował rozwód, napewnobym powędrował do więzienia. Moja żonka nie omieszkałaby mnie zadenuncjować jako kontrrewolucjonistę, a przecież moja przeszłość polityczna przemawiałaby przeciwko mnie.

— Tak, rozumiem teraz — odrzekłem.

— Całe jednak szczęście—ciągnął dalej C.— żeś ty przyjechał. Pomożesz mi się uwolnić od tej wściekłej baby.

— Jesteś młodszy ode mnie i... przystojniejszy. Szybko jej wpadniesz w oko i ani się spostrzeżesz, jak ci się rzuci na szyję. Wówczas się ze mną rozwiędzie...

— Ha! ha! ha! — parsknąłem śmiechem.

— Nie śmieję się. Ostrzegam cię tylko—zwró-

cił się z naciskiem do mnie—abyś nie wpadł w jej sieci i nie dał się wziąć po pijanemu na małżeństwo, jak się to stało ze mną.

Rozmowa z C. odsłoniła mi istotę małżeństwa bolszewickiego. Zawierane są pod wpływem cielesnych namiętności lub jakiegoś przypadku. Nie ma tam miłości i myśli o wychowaniu następnego pokolenia. Użyć i po użyciu rozejść się—oto hasła małżonków, zawierających ślub w urzędzie bolszewickim. Jest to wstrętne i demoralizujące. Nic dziwnego, że setki tysięcy dzieci bezdomnych tuła się po Rosji i śluby bolszewickie wrywają z serc ludzkich miłość do dzieci, które uważają za niepotrzebny ciężar w życiu.

Po południu wróciliśmy z C. do domu. Parę godzin spędziliśmy we troje, nadszedł jednak wieczór i C. musiał iść do teatru. Dźwignąłem się i ja i chciałem iść do miasta.

— A pan gdzie?—zatrzymała mnie pani Sonia.

— Na spacer. Będę pani przeszkadzał. Odprowadzę pani męża.

— Proszę zostać w domu. Opowie mi pan o Sołówkach.

Usiadłem przy stole i rozpocząłem pisać list do krewnych w Polsce. Gdy już napisałem parę wierszy, nagle uczułem, że ciepłe dłonie zasłoniły mi oczy.

— Pani pozwoli, że dokończę list...

— Nie pozwolę, bo mi się pan podoba.

Ująłem delikatnie jej ręce, zdjąłem ze swoich oczu i wstałem, by ruszyć do drzwi. Ale pani Sonia była kuta w sprawach miłosnych. Drzwi były zamknięte. Roześmiała się figlarnie, gdy bezskutecznie szarpnąłem klamką.

Gdy stałem bezradny, skoczyła ku mnie, chwyciła mnie za szyję i przywarła swemi ustami do moich warg. Zostałem...

Nazajutrz p. Sonia oświadczyła swemu mężowi, że bierze z nim rozwód. Wołodia dla niepoznaki podrożył z nią się trochę i wreszcie przystał. Wnet oboje się udali do urzędu i po... godzinie byli rozwiedzeni.

— Dziękuję ci bardzo, Mieteczku, żeś mnie wyrwał z rąk tego potwora. Tylko uważaj — zaklinał mnie świeżo rozwiedziony Wołodia — abyś nie wpadł. Nie żeń się z nią, bo będziesz zgubiony.

Tego samego jeszcze dnia Wołodia przeprowadził się do swego kolegi. Mieszkałem u pani Soni przez kilka dni, gdy jednak rozpoczęła atak, aby mnie zmusić do małżeństwa, czem prędzej zabrałem swoje manatki i poprostu zwałem z mieszkania pani Soni. Przy pomocy znajomych Wołodi udało mi się zdobyć pokoik.

Pani Sonia dłuższy jeszcze czas interesowała się moją osobą. Na szczęście wpadł jej w oczy jakiś młodzian, więc zapomniała o mnie.

Gdy się ulokowałem na nowym mieszkaniu, rozpocząłem starania o posadę, tem bardziej że i moje

środki pieniężne miały się ku końcowi. Pierwsze swe kroki skierowałem do biura pośrednictwa pracy. Ale tu się krótko ze mną załatwiono.

— Kto ty jesteś? — spytał mnie kierownik biura.

— Człowiek, Polak — odparłem.

— Niema dla ciebie pracy. Mamy dużo swoich bezrobotnych.

Wobec takiej odpowiedzi udałem się do naczelnika G. P. U. w Woroneżu, kierownika IV oddziału specjalnego, Oziorkina.

— Jestem zesłańcem — rozpocząłem — naznaczono mi Woroneż na miejsce osiedlenia.

— Ładnie. Co dalej? — wpił się we mnie oczami Oziorkin.

— Zwróciłem się do miejscowego biura pośrednictwa pracy, ale odmówiono mi zajęcia. Środki moje są na wyczerpaniu, proszę o poparcie w biurze pośrednictwa pracy.

— Żadnych poparcie nie uznaję — odrzekł podniesionym głosem.

— Co ja mam robić? Czy z głodu umrzeć? Czy poto mnie tu wysłano?

Oziorkin skoczył i chwyciwszy rewolwer podsunął mi go pod sam nos, wrzeszcząc:

— Czy ty przyszedłeś mnie straszyc swoją śmiercią?

— Chcesz, to mogę ci dać ten rewolwer, abyś sobie jak najprędzej w łeb strzelił. Jeszcze czego! Widziałem na Powołżu, jak matka z głodu dziecko

zjadła, a on myśli, że swą śmiercią mnie zastraszy. Umieraj choćby sto razy dziennie. A teraz woni

Po tych słowach Oziorkin chwycił mnie za kołnierz i wyrzucił za drzwi.

Nie dałem jednak za wygraną i dreptałem po różnych kątach w poszukiwaniu zajęcia. Po kilkunastu dniach dostałem skromną posadę i zacząłem się zapoznawać z życiem gospodarzem Sowietów. Przedziwne to życie.

W początkach grudnia 1927 roku ujrzałem na ulicach Woroneża dziwne widowisko. Przez ulicę ciągnął korowód sań, naładowanych workami. Na przodzie korowodu jechały sanie przybrane w czerwona płachtę, na której wielkimi literami wypisane było następujące zdanie:

„Wypełnimy kampanję zbożową na 100 proc.“

Po bokach tej płachty dwu harmonistów grało na harmonjach. Powożący saniami „muzyk“ płakał. I na innych saniach chlipali „muzyki“ (chłopi).

— Cóż to za komedja—przemknęło mi przez myśl. Jedni grają, drudzy płaczą?

Postanowiłem zbliżyć się do taboru i dowiedzieć się prawdy. Gdy o kilkadziesiąt kroków dalej tabor stanął przy budynku, na którym widniał napis „sypka zboża“, podszedłem do jednego z siwowłosych chłopów połykających łyżę i zapytałem go:

— Czego płaczesz?

— Jak nie mam płakać — skarżył się starszek — skoro mi zabrali wszystko zboże. Ani zia-

renka nie zostało w komorze. Czem tu rodzinę przeżywić przez zimę i przednówek?

— Wszystko ci zabrali?

— Na nasienie nic nie zostało. Doloż ty moja, o doło! Jak tu żyć?

Zacząłem zmartwionego chłopą wypytywać o jego gospodarstwo.

— Piętnaście dziesięcin obsiałem pszenicą, zebrałem z każdej 65 do 70 pudów ziarna, czyli z całości trochę więcej jak 1000 pudów. Cóż z tego, kiedy mi kazano skarbowi oddać tysiąc pudów po 94 kopiejki za pud. Dali 940 rubli za zabrane zboże, a podatków nałożyli 1100 rubli.

— A dlaczegoż cię tak mocno przycisnęli?

— Bo byłem głupi i zasiałem 15 dziesięcin pszenicy. Zaraz mnie nazwali „kułakiem“*), choć mam tylko dwie krowy i parę koni.

— A jeśli nie zapłacisz podatku?

— Muszę, bo mi tych pieniędzy za pszenicę nie wydali.

— To ci brakuje jeszcze 160 rubli do zapłacenia wszystkich podatków?

— Tak, panie, i to mnie właśnie martwi, bo jak im nie zapłacę, to mi zabiorą ostatnią krowę lub konia.

Oto obrazek dobitnie charakteryzujący stosunek rządu sowieckiego do ludu rosyjskiego. Inaczej jak wyzyskiem i grabieżą nie można go nazwać.

*) Zamożnym gospodarzem.

Im bardziej wgłębiałem się w życie Sowietów, tem mocniej utwierdzało się we mnie przekonanie, że nieliczna grupka łajdaków i oszustów bez czci i serca, chwyciwszy władzę w Rosji, żeruje na jej osłabionym organizmie.

To też nic dziwnego, że ograbieni doszczętnie chłopci zaczęli się buntować, zabijając po wsiach komisarzy bolszewickich, oraz rozpędzając na cztery wiatry jaczejki komunistyczne, a nawet paląc budynki włościańskich gospodarstw sowieckich. Niejednokrotnie mordowali urzędników i komunistów w małych miastach, pozbawionych garnizonów wojskowych.

Centralne władze sowieckie były w rozpacz. Postanowiono ten cichy terror utopić w potokach krwi. To też po każdym zabójstwie jakiegoś małego komisarka zjeżdżały do wsi liczne oddziały G. P. U. i rozpoczynały dzikie śledztwo. Rozpoczynało się bicie chłopów, a następnie pakowanie ich masami do więzienia. Dziś niema ani jednej wsi w środkowej Rosji i na Ukrainie, której ten lub ów mieszkaniec nie zapoznał się z więzieniem. Zaostrzyło to tarcia między wsią a władzami. Nienawiść chłopska do bolszewików wzrosła i zarzewie walki z komunizmem objęło szerokie koła ludu rosyjskiego.

Wielokrotnie potem miałem możność przekonać się naocznie, że wieś rosyjska jest dostatecznie przygotowana do buntu. Odpowiednio pokierowane chłopstwo rosyjskie i ukraińskie dziś już chwyciło-

by za kosy i cepy. Zresztą i karabinów nie brakuje na wsi. Także wojna łątwoby mogła rozpętać bunty chłopskie w Sowietach.

Centralne władze sowieckie zdają sobie sprawę z tego stanu wsi i po mistrzowsku ukrywają go przed zagranicą. Zresztą bolszewicy są mistrzami w robieniu propagandy, okłamywaniu delegacyj zagranicznych i ukrywaniu nędzy panującej w Sowietach.

Pewnego razu byłem świadkiem przybycia delegacji robotniczej z państw zachodnich do Woroneża w drodze powrotnej z Kaukazu. Były to naprawdę cudeńka, które się rzadko ogląda. Już na parę godzin przed przyjazdem delegacji zabrano się do czyszczenia dworca z hołoty. Kto miał nędzne odzienie, tego natychmiast przepędzano z dworca. Wszystkie dzieci bezdomne, grasujące po Woroneżu, znalazły przytułek... w więzieniu. Natomiast na dworzec przywieziono samochodami pięknie przybrane i dobrze odżywione dzieci partyjnych komunistów. Miały one grać rolę sierot z komunistycznych przytułków.

Gdy zjechała delegacja, przyjęto ją sutym obiadem, dobrą wódką i przekąskami z kawiozem. Gdy delegacja uraczyła się dostatecznie alkoholem i kawiozem, jeden z przedstawicieli bolszewickich wygłosił odczyt. Szło mu gładko, jakby wszystko wykuł na pamięć.

— Drodzy towarzysze—deklamował—przykro mi niezmiernie, że nie mogę wam przedstawić na jak wysokim poziomie stoi technika w naszym prze-

myśle. Brak czasu nie pozwala mi oprowadzić was po naszych fabrykach, abyście naocznie to mogli sprawdzić. Tyle jednak mogę wam powiedzieć, że już wyrabiamy maszyny tańsze, aniżeli na zachodzie Europy i w Ameryce, choć nasi robotnicy zarabiają nie mniej od robotników na Zachodzie. Wieś nasza obrabia już ziemię traktorami; dostarczamy ich rolnikom na długoterminowe spłaty — łąał w sposób bezczelny mówca, upajając się sam kłamstwem.

Po odczycie delegacja wsiadła do pociągu i pojechała do Moskwy. Z Woroneża wyniosła wspaniałe wrażenie.

Najlepiej obrazuje te kłamstwa sowieckie o taniości ich produkcji przykład na pługach. Jednokonny pług Brehera, sprowadzony z zagranicy, można było kupić za 18 rubli. Ale tylko do tego czasu, dopóki Sowiety nie otworzyły tak zwanej Orłowskiej fabryki pługów. Cena fabryczna pługa orłowskiego wynosiła 21 rubli, a więc była wyższa od ceny detalicznej zagranicznego pługa Brehera. Wówczas postanowiono sprzedawać pługi Brehera po 21 rubli, a orłowskie po 18 rubli. Stratę, jaką poniesiono przy sprzedaży pługa orłowskiego, nadrabiano zyskiem ze sprzedaży pługa Brehera. Ale zato mówiło się, że sowiecki pług jest tańszy. Mimo to wszyscy rolnicy woleli nadal kupować pługi Brehera, bo choć drożej za nie płacili, jednak były one lepsze.

W końcu kwietnia 1928 roku przeniosłem się

z Woroneża do Penzy. Długo się w G. P. U. musiałem tłumaczyć, dlaczego się do przenoszę Penzy.

W Penzie kazano mi się meldować raz na miesiąc w G. P. U.

Zaraz w pierwszych dniach po osiedleniu się w Penzie wyjechałem w interesach do Semipałatyńska, na Syberję.

W owym czasie w Semipałatyńsku wybuchł strajk na tle ekonomicznym. Robotnicy wiecowali w gmachu fabryki. Wiec był spokojny. Nagle podczas przemowy jednego z robotników, nawołującego do wytrwania w strajku, rozległ się strzał. Spłoszeni robotnicy rzucili się do bram fabrycznych. Ale tu oddziały G. P. U. przywitały ich ogniem karabinów maszynowych.

Stu kilkudziesięciu robotników padło, mnóstwo było rannych. Ale krwiożerczych władz sowieckich nie zadowolila ta masakra. Nastąpiły masowe areztowania, pięciuset robotników skazano na 1 do 5 lat Sołówek.

W sowieckich pismach w tak kłamliwy sposób odmalowano owe zajścia w Semipałatyńsku:

„Semipałatyńsk, dnia 15 maja. Dziś wybuchł w tutejszych fabrykach strajk polityczny, zorganizowany przez jakąś organizację antykomunistyczną. Za jej namową kilkunastu robotników rzuciło się na kooperatywy i zaczęli niszczyć i rabować dobro sowieckie. Przeciwno buntownikom użyto wojsk G. P. U. i milicji, które bandy rozpedziły, przyczem

kilku członków band zabito i raniono. Kilkunastu ludzi aresztowano; mają oni być pociągnięci do odpowiedzialności“.

Gdybym sam tego nie był świadkiem, nigdybym nie uwierzył, że spokojne żądania robotników przedstawiono w sposób tak wykrętny i łajdacki, jako dążenie do buntu. Później przekonałem się, że każdą próbę strajku ekonomicznego, każde upomnienie się robotników o poprawę mizernych płac Sowiety topią we krwi. To nie obrońcy sprawy robotniczej, a szakale, żerujący stokroć gorzej jak kapitaliści na nędzy robotniczej!

Po zajściach w Semipałatyńsku wróciłem do Penzy, odpocząłem sobie tydzień i zameldowałem się w G. P. U. Podczas wizyty w G. P. U. przekonałem się, że czekiści nic nie wiedzą o moim wyjeździe.

Po dwu dniach zacząłem się kręcić koło stacji, próbując wcisnąć się do jakiegoś pociągu, tak jednak, aby nie wiedzieli o tem agenci G. P. U.

I oto pewnego razu ujrzałem w otwartym wagonie towarowym człowieka w białym fartuchu. Gdy zbliżyłem się do wagonu, ujrzałem na nim napis:

— „Prokaza! Nie podchodzi!“ Obok napisu wymalowano trupa głowę.

— Ej, towarzyszu! — zwróciłem się do człowieka w białym fartuchu — dlaczego nie wolno zbliżać się do tego wagonu?

— Bo jest w nim trędowaty, którego wiozę do Leningradu.

— Będziecie przejeżdżać przez Moskwę?

— Tak, przez Moskwę.

— To pięknie, bo i ja chcę jechać do Moskwy. Jenó jak to zrobić?

— Wsiadaj do pociągu i jazda.

— Ba, kiedy nie mam pieniędzy... Możebyś ty, towarzyszu, mnie zabrał?

— Ja? W tym wozie nikomu jechać nie wolno. Tu jedzie trędowaty, a to jest choroba zaraźliwa.

— Ehl! Zaraźliwa! Przez parę lat byłem sanitariuszem w szpitalu i żadna choroba do mnie nie przyłgnęła. Ty sam, towarzyszu, jako sanitariusz, dobrze wiesz, że umięją się oni bronić przed chorobą.

— Prawdę mówisz. Zabrałbym cię, ale... nuż zobaczą.

— Kto ma zobaczyć — mruknąłem gramoląc się do wagonu, w którym jechał trędowaty.

Jak tylko pociąg ruszył ze stacji, przybrałem się w biały chałat i udawałem sanitariusza. Mój towarzysz był rozmowny i lubił wypić. Wkrótce pociągnęliśmy z jego butli. Rozwiązał mu się język. Po chwili był przekonany, że ja istotnie jestem sanitariuszem i że we dwójkę transportujemy trędowatego.

W wagonie tym czułem się bezpiecznie, gdyż żaden agent G. P. U. nie był na tyle odważny, aby składać wizytę trędowatemu, lub nawet sanitariuszu.

szom, którzy go transportowali. Funkcjonariusze G. P. U. cenili swoje życie, to też spokojnie i bezpiecznie dotarłem do Moskwy.

Po załatwieniu swoich spraw postanowiłem odszukać lekarkę, p. M., z którą dłuższy czas pracowałem w szpitalu na Sołówkach. Poszukiwania szły jednak jak po grudzie. Parę dni szukałem jej adresu, ale nikt nie mógł mi go wskazać.

Czwartego dnia na kilka godzin przed odjazdem postanowiłem wstąpić do polskiego kościoła w Milutyńskim zaułku. Po drodze do kościoła spotkałem pana B., byłego więźnia z wysp Sołowieckich. Poznał mnie odrazu i ucieszył się ogromnie. Gdyśmy się już nagadali, zapytałem go, wiedząc, że mój rozmówca zna na wylot stosunki polityczne w Moskwie:

— Czy to prawda, że Dzierżyński i Frunze nie umarli naturalną śmiercią, lecz zostali otruci?

— To nie są żadne pogłoski, to jest prawda.

— Otruł ich — ciągnął dalej — znany doktor, profesor Rozanow.

— I nie odpowiadał za to?

— Za cóż miał odpowiadać? Przecież on dostał rozkaz od władz sowieckich, aby ich zgładzić.

— A dlaczego kazali ich wysłać na tamten świat?

— Bo za bardzo wyrosli ponad swe otoczenie. Bali się ich, jako ewentualnych dyktatorów i dlatego kazali zgładzić.

— Ale Lenin umarł własną śmiercią?

— Tę sowiecką konserwę toczyła straszna choroba weneryczna, która pod koniec życia rzuciła mu się na mózg.

— Dlaczego nazywasz Lenina konserwą sowiecką?

— Wszyscy tak nazywają zakonserwowane, choć wiecznie psujące się zwłoki Lenina. Warjat był prawdziwy. Pod wpływem postępującej choroby pchnął Rosję na straszną drogę. Sto najmniej lat potrzeba, aby odrobić te zniszczenia materialne i moralne, jakie poczynili bolszewicy w społeczeństwie rosyjskiem... Padło to akurat na nasze pokolenie. Musimy to wszystko przecierpieć...

Po dłuższej pogawędce rozeszliśmy się. Udałem się wprost na dworzec i wyjechałem do Penzy. Na drugi dzień po przyjeździe pokazałem się agentom G. P. U., aby nie wzbudzać w nich podejrzeń.

Po kilku dniach odpoczynku musiałem wyjechać do Niżnego Nowgorodu.

Przejeżdżałem przez Aramas, słynne z więzienia, mieszczącego się w byłym klasztorze Sarowskim. Męczą tu więźniów w podobny sposób, jak na Sołówkach.

W Niżnym Nowgorodzie odbywały się akurat w tym czasie jarmarki. Nikłe one są w porównaniu z przedwojennymi. Wiele sklepów było zamkniętych, inne porozbijane i zniszczone.

Na jarmarku spotkałem wielu znajomych, a między innymi znajomego felczera, który dopiero co powrócił z Sołówek. Ucieszyliśmy się niezmiernie, boć przecież sporo czasu spędziliśmy wspólnie w katowni sołowieckiej.

— Cóż słyhać na Sołówkach?

— Tak samo męczą ludzi jak dawniej. Więż-



Wygłodzeni mieszkańcy Bolszewji pozbywają się resztek swego mienia.

niów zato przybyło. Gdy wyjeżdżałem z Sołówek, na wyspach siedziało 27 tysięcy więźniów.

— Co słyhać z doktorem Wysockim?

— Zamordowali go czekiści.

— Niemożebnel

— Jakżeż, zamordowali go około komende-

rówki Paranda i to na trzy dni przed odsiedzeniem wyroku.

— Któż kazał go zamordować?

— Sam naczelnik północnego obozu, Ejchmunz.

— Za co, na miłość boską, przecież to był najłagodniejszy człowiek pod słońcem.

— Ale za dużo wiedział o łajdackich morderstwach i kradzieżach Ejchmunza i innych zbirów na wyspach Sołowieckich. Bali się go jako wiarogodnego świadka. Dlatego kazali go zamordować.

— A jego matka-staruszka wie o tem?

— Tak, wstąpiłem po drodze do niej i opowiedziałem o wszystkim. Biedaczka rozchorowała się z rozpacz i wkrótce zmarła.

Po załatwieniu interesów w Niżnym Nowgorodzie przyjechałem statkiem do Kazania. Zamieszkałem tam chwilowo w hotelu pod nazwą „Kazańskie Podwoje“. Wkrótce zauważyłem, że jestem śledzony przez jakieś dwa podejrzane typy, a nawet przez służbę hotelową. Postanowiłem zniknąć im z oczu, zmyliwszy po sobie ślady.

Pewnej nocy, gdy ruch w hotelu ustał i wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie, nawet dyżurny szwajcar, wyniosłem swoją walizkę, wsiałem w dorożkę i kazałem się wieźć na przystań, odległą o osiem kilometrów od miasta. Zachęciłem dorożkarza sutym napiwkim, abyśmy zdążyli na statek, odchodzący o godzinie pół do drugiej w nocy. Dorożkarz nie zawiódł, jednakże mój pośpiech był próż-

ny, albowiem z powodu mgły na Wołdze statek miał odejść dopiero o godzinie 12 w południe.

— Co tu robić? — głowiłem się — do miasta nie mogę powrócić, bo niezawodnie agenci G. P. U. wszczęli już za mną poszukiwania. Na przystani z tych samych powodów nie mogę zostać.

Choć więc lał porządny deszcz, ruszyłem powoli wzdłuż Wołgi. Gdy uszedłem około stu kroków, do brzegu przybiła wielka łódź z kajutą. Była to łódź rybacka, którą deszcz spędził z połowu.

— Jakżeż tam połów? — rzuciłem w stronę rybaków.

— Szłoby, gdyby nie ten deszcz. A to ci plucha!

— Rzeczywiście bije. Niedługo mi całe ubranie przemoczy — mruknąłem tonem skargi.

— To choć do nas. Kajuta obszerna, przez daszek nie przecieka. A i piecyk jest w kajucie.

— A macie ryby na sprzedaż?

— Coś niecoś się znajdzie.

Gdy znalazłem się w ciepłej kajucie, zacząłem rybaków częstować papierosami. Wkrótce wywiązała się pogawędka, w której wspominaliśmy lepsze czasy. Rybacy skarżyli się, że władze sowieckie gnębią ich w niesłychany sposób, że ściągają z nich wielkie podatki, na pokrycie których nie wystarczają im całkowite zyski. Wskutek tego rodziny ich skazane są na śmierć głodową.

— Poczóż więc zajmujecie się rybołówstwem. Moglibyście jąć się innej pracy — zauważyłem.

— Skąd wziąć tę pracę, u nas jej niema. Wszędzie głód i nędza. Wreszcie, gdybyśmy nawet chcieli opuścić nasze miasto, to nie możemy — odrzekli.

— Dlaczegoż to? — spytałem.

— Bo wszyscy należymy do miejscowego związku rybackiego. Gdyby który z nas przeniósł się do innej miejscowości, spytanoby go się, do jakiego należy związku i odesłanoby zpowrotem do miejsca stałego zamieszkania. Tu zaczęłoby się śledztwo, skonfiskowanoby sieci i łodzie, a potem wysłanoby daleko na Sybir.

— Jednak przyjdzie chwila, kiedy naród rosyjski wybuchnie i zgniecie ten przeklęty ustrój komunistyczny.

Oto obrazek z życia rybaków w Sowietach. Sowiety uzyskują tanie transporty ryb, które sprzedają zagranicą po niebywale niskich cenach. Nic ich przecież nie kosztują, bo je konfiskują rybakom i w dodatku obciążają ich wielkimi podatkami.

Po półgodzinnej rozmowie zaproszono mnie do spróbowania smażonej ryby. Mruknąłem:

— Wartoby się do tego wódki napić. Pieniądze mam, nie wiem tylko, gdzie się o nią postarać.

— Jak będą pieniądze, będzie i wódka — odparł jeden z młodszych rybaków.

Wyciągnąłem pięciourublowkę i wręczyłem rezolutnemu rybakowi. Nie minął kwadrans, gdy trzy

butelki stały przed nami. Zaczęło się przepijanie. Wkrótce wszyscyśmy się rozochocili i zapomnieli o deszczu. Rybacy podpiwszy i podjadłszy sobie należycie zaczęli nucić przy wtórze bałałajki.

Tak wesoło spędziliśmy czas do rana. Nad ranem deszcz ustał i słońko wyjrzało z poza drobniutkich chmur. Postanowiłem iść na przystań, ale rybacy, dowiedziawszy się, że mój parowiec odchodzi dopiero o dwunastej, nie chcieli mnie puścić, obiecali mnie podwieźć pod przystań. Zostałem, ale wkrótce sen skleił mi powieki. Gdy się obudziłem, była godzina dziesiąta rano, a łódź rybacka znajdowała się o dwanaście kilometrów od portu.

— Nie zdążę na statek — zwróciłem się do rybaków.

— Nie martw się, zaraz cię podwieziemy.

Zaraz też jeden z rybaków odczepił żaglówkę od łodzi. Wsiadłem na nią i ruszyliśmy w stronę portu. Jak strzała mknęliśmy po Wołdze do portu. Spienione nurty rzeki rzucały łódką na wszystkie strony, mimo to mknęliśmy naprzód. Zdążyliśmy na przystań na pół godziny przed odejściem parowca. Kupiłem bilet drugiej klasy. Otrzymałem kajutę Nr. 3, w której były tylko dwa miejsca.

Na pięć minut przed odejściem pociągu weszła do mojej kajuty pasażerka. Była to młoda, piękna niewiasta. Gdy statek ruszył, wywiązała się między nami rozmowa.

— Daleko pan jedzie? — zapytała mnie moja towarzyszka podróży.

— Do Syzrania.—Skłamałem, nie chcąc ujawniać prawdy.

— Cieszę się bardzo. I ja tam jadę.

— Pani zapewne do krewnych jedzie? — próbowałem podtrzymać rozmowę.

— Nie, nie do krewnych. Jestem tancerką, jadę do Syzrania na teatralne występy — odrzekła kokietując mnie oczyma.

— Piękny zawód. Sztuka!

— Lubi pan baletnice?

— Piękne owszem.

Na lekkiej rozmowie, która coraz bardziej zbliżała się do flirtu, przepędziliśmy drogę do Syzrania. Gdyśmy przybyli na przystań, ona zabrała swoje rzeczy, ale zobaczywszy, że ja spokojnie siedzę, zapytała mnie dlaczego nie zbieram się do wysiadania.

— Rozmyśliłem się. Pogoda tak wyjątkowo piękna, a Wołga tak czarująca, że nie chcę mi się wysiadać w Syzraniu, pojedę do Saratowa.

— To i ja w takim razie zostanę i pojedę z panem do Saratowa.

— A co będzie z występami teatralnymi?

— Niech zaczekają na mnie, dopóki nie wrócę—odrzekła, skłaniając figlarnie ku mnie główkę.

Muszę przyznać, że początkowo ucieszyła mnie ta wiadomość.

— Nowy flircik — przemknęło mi przez myśl.
Warto, ładna dziewczyna.

Jednakże ostrożność zaczęła brać górę.

— A nuż to agentka G. P. U. Trzeba trzymać język za zębami i przy najbliższej sposobności zemknąć tej pięknej dziewczeczce z oczu. Bacność, Mieciu — mruknąłem do siebie.

— Co pan mówi?

— Pozwalam sobie myśleć głośno, że pani jest piękna i że... że... podoba mi się pani bardzo.

— Naprawdę? — zbliżyła się do mnie.

— Zdaje się, że moje oczy nie kłamią.

Być może, przyszłoby do jakiejś czulszej sceny, gdyby nie konduktor.

— Bilety — zawołał.

Wyciągnąłem z kieszeni swój bilet i podałem konduktorowi.

— Co zrobi moja towarzyszka, która miała jechać tylko do Syzrania—zapytałem siebie w duchu.

Ale moja towarzyszka najspokojniej wyciągnęła bilet i podała konduktorowi.

— Aha! Miałaś odrazu, piękna panno, bilet do Saratowa. A więc jedziesz za mną. Ho! ho! To pani jest na służbie G. P. U. No! no! Trzeba pomyśleć, jak się pozbyć, twego towarzystwa, moja panno — myślałem.

— Jak widzę i pani ma bilet do Saratowa — zauważyłem z głupia frant.

— Tak — bąknęła i zamysliła się.

Od tego czasu rozmowa nie kleiła się.

Tymczasem statek zbliżał się do Saratowa. Trzeba się było zbierać.

— Co pani ma zamiar robić ze sobą? Ja zostawiam walizkę na przystani i idę do biura adresowego, aby odszukać adres znajomych.

— Wie pan, to i ja zostawię walizkę na przystani.

— A może u pańskich znajomych będzie pokój do odnajęcia, to chętniebym tam zamieszkała. Zawsze pan już znajomy...

Cóż miałem na te propozycje agentki odpowiedzieć? Złożyliśmy rzeczy w poczekalni.

— Może pani schowa kwit od mojej walizki w swojej torebce — zwróciłem się do niej — boję się, by go nie zgubić.

Przyjęła go z nietajoną radością, sądząc najwidoczniej, że ten dowód zaufania jest najlepszym świadectwem, iż nie podejrzewam jej roli.

— A teraz do restauracji, musimy coś zjeść.

Po obiedzie, poprzedzonym paru kieliszkami wódki, do wypicia której mocno zachęcałem mego anioła stróża, zwróciłem się do niej z następującą propozycją.

— Obecnie rozstaniemy się na trzy godziny. Pani pójdzie na spacer, a ja odszukam znajomych. O godzinie 7 spotkamy się w parku.

Agentka, mając kwit na moją walizkę, złożoną

w przechowalni na przystani, nie podejrzewała, że to nasza ostatnia rozmowa. Zgodziła się.

Odszukałem moich znajomych i opowiedziałem im całą moją podróż z Kazania do Saratowa i jak rozstałem się z agentką.

— Trzeba cię przewieźć na drugą stronę Woł-



Ogonki przed sklepami spożywczymi w Moskwie.

gi — zaproponował jeden z moich znajomych — do Pietrowska. Tam posiedzisz ze dwa dni, łatwo potem dostaniesz się do Kamyszyna, a stąd już pociągiem do Penzy.

Tak też zrobiłem. Wieczorem rybak przewiózł mnie do Pietrowska, stolicy niemieckiej republiki, zamieszkałej prawie wyłącznie przez Niemców ka-

tolików. Bardzo przyjaźnie witają oni każdego katolika bez względu na narodowość. I mnie tu przywitano przychylnie.

Koloniści niemieccy żyją tam bardzo biednie. Pomimo, że mają dużo ziemi i dobrą rolę, obecnie prawie jej nie uprawiają, pola niezasiane leżą odłogiem, wiele domów stoi pustkami, gdyż właściciele ich uciekli pozostawiając chudobę na los szczęścia. Widząc ten obraz nędzy i spustoszenia wśród chłopów i kolonistów, przez ciekawość zwróciłem się do jednego z Niemców z zapytaniem.

— Cóż to, panie gospodarzu, nie obsiewacie swej roli?

— Jakże ją mogę obsiewać kiedy nie mam czem, rząd sowiecki wszystko zabiera, płacąc bardzo niskie ceny, które nawet nie wystarczają na zapłacenie podatków.

— Przecież wy teraz nie jesteście kolonistami, lecz macie własną republikę niezależną?

— Ach! Republika, niezależność? My tu jesteśmy gorzej gnębieni, jak za dawnych, carskich czasów, a republika nasza i niezależność istnieją tylko na papierze. O naszym gospodarstwie i życiu — rzekł gospodarz — możnaby było bardzo dużo powiedzieć, ale obawiam się, iż za rozwiązanie języka mogliby mnie wpakować do więzienia, a rodzinę moją zesłać na Sybir. Takie to u nas nastaly czasy, że prawdy nie można wyjawic.

To też o nic więcej go nie pytałem. Na drugi

dzień dobrzy ludziska pomogli mi dostać się do Kamyszyna, skąd pociągiem powróciłem do Penzy.

Nie mogłem jednak już w tem mieście wytrzymać i na drugi dzień ruszyłem do Moskwy.

Po drodze spotkałem swojego znajomego, który zaprosił mnie do siebie do Riazania. Wracał on z podróży—objechał niemal całą europejską Rosję to też miał moc wiadomości o tem, co się działo w Rosji. Nic dziwnego, że zacząłem go rozpytywać o nowiny.

— Nowiny? zaczął. Dobrze jest. Chłopi czynają się buntować na dobre.

— O co?

— Jeszcze pytasz?! Posłuchaj co mówią: w 1926 roku obsieliśmy bardzo dużo pola, zbiory były ładne. Ale cóż z tego, Sowiety zabrały nam wszystko, licząc po 75 kopiejek za pud żyta, 68 za pud owsa i 94 za pud pszenicy. Za zabrane zboże nie dali pieniędzy, lecz manufakturę, obuwie i na resztę kwity. Zboże liczyli po tanich cenach, a manufakturę po wysokich, bo za arszyn najgorszych płócien pobierali od 44 do 77 kopiejek, za zwyczajne zaś buty 22 rubli 50 kopiejek. Wkrótce po tem wszystkim przysłali nakazy na podatek. Nie wystarczyły na nie kwity za odstawione zboże, zabrano więc część żywego inwentarza.

— Ponieważ — opawiają dalej chłopi — okradziono nas w 1926 r., postanowiliśmy zasiać więcej, aby w 1927 powetować sobie straty. Ale

w 1927 r. okradli nas jeszcze bardziej. Wówczas zrozumieliśmy, że warto siać tylko dla siebie i zaraz po zbiorach chować. Na to Sowiety odpowiedziały nasłaniem żołdatów i rewizją. Doszło do bójek. Krew się leje, ale co na to poradzić? Siejesz, źle — okradną, nie siejesz także źle — nasyłają oddziały rekwizycyjne.

Zabierają im gospodarki, a samych zsyłają na ciężkie roboty na Murman i Syberję. Zesłańcy ci wzamian za swą pracę w lesie otrzymują bardzo skromny posiłek, składający się z $\frac{3}{4}$ funta chleba oraz z postnej zupy. To też z głodu i nadmiaru ciężkiej pracy mrą, jak muchy.

— Tak — rzekłem — ciężka ich dola.

Zapytałem kolegę co bolszewicy czynią z drzewem, które wycinają skazańcy.

— Drzewo to idzie zagranicę, przeważnie do Anglii.

— Nic dziwnego — rzekłem do kolegi — że Sowiety sprzedają je zagranicy po niskich cenach, przecież robocizna ich nic nie kosztuje.

— Tak — odparł kolega — także liczą na to, że żadne z państw europejskich nie będzie mogło z nimi współzawodniczyć i że w ten sposób zwiększy się bezrobocie na Zachodzie, a co za tem idzie wynikną bunt, strajki i dojdzie do rewolucji.

— Zresztą i robotnikom — począł znowu — nie lepiej. Płacą im marnie, o chleb i mąkę trudno, na kartki wydają tylko pół funta dziennie. Ro-

botnik o cukrze i słoninie lub jakimś innym tłuszczu nie może marzyć. Buty i garnitury są drogie.

— Cała Ukraina jest podminowana. Codziennie niemal w rozmaitych punktach wybuchają bunty. Ograbieni chłopci ukraińscy zgrzytają zębami, tem bardziej, że Sowiety sadzają na folwarkach komunistów sprowadzanych z głębi Rosji.

— Bardzo jest źle również w Rosji środkowej. Chłopi, którym zabrano wszystko zboże jedzą zmuszę (prasowane wyłoki słonecznikowe). Tylko dla Moskwy starają się bolszewicy o chleb, mąkę, mięso i inne produkty. Ale to się robi tylko dla zagranicy, na pokaz, dla wpojenia przekonania w cudzoziemców, że w Sowietach dobrze się dzieje.

— Pozostań — zwrócił się do mnie — parę dni w Rianzańsku, a będziesz świadkiem paru zatararów, jakie w tych dniach wynikną między robotnikami a sowieckimi zarządami fabryk.

— O co?

— Oszukali robotników przy wprowadzeniu 7-miogodzinnego dnia pracy. Oto np. w fabryce włókienniczej w Riabińsku tkacz, który przy ośmiogodzinnym dniu pracy otrzymywał za dwa tygodnie 50 rubli, po wprowadzeniu siedmiogodzinnego dnia pracy otrzymał za ten okres tylko 42 ruble. Wobec tego robotnicy się burzą i żądają wprowadzenia zpowrotem ośmiogodzinnego dnia pracy. Ba, zgodziliby się nawet na dziewięciogodzinny, byle więcej zarobić, taka bieda u nich panuje.

Tak gawędziliśmy niemal cały dzień. Gdy się ściemniło, mój towarzysz rzekł do mnie:

— Chodźmy się przejść nad rzekę.

Gdyśmy się już spory szmat drogi oddalili od poprzedniego miejsca, spojrzałem w stronę mostu.

Od strony Suworowa pojawiły się dwa małe światełka, które zwiększając się co chwila, zbliżały się do mostu.

Gdy pokazały się na moście usłyszeliśmy jedno-stajne dudnienie.

— To pociąg towarowy — zauważyłem.

— Tak, pociąg z mąką.

Pociąg mknął dalej po moście. Gdy koła parowozu znalazły się za mostem, naraz lokomotywa zatrzymała się, a z komina jej wzbił się potężny słup ognia i kłęby dymu. Zanim zdołałem zorjentować się, co to oznacza, sznur wagonów z trzaskiem i hukiem poleciał do rzeki.

— Boże! Katastrofa! — zawołałem.

— Lepiej zmykajmy — zawołał mój towarzysz.

Gdyśmy się znaleźli po gwałtownym marszu w domu, zwróciłem się do swego kolegi z następującym pytaniem:

— Co to wszystko znaczy?

— Wywalono pociąg do rzeki.

— Kto to zrobił?

— Zbuntowani chłopci.

— POCO?

— Pociąg ten, naładowany mąką, przeznaczony był do Moskwy. Nie puścili go.

— Zresztą ciągnął — mój towarzysz — to pierwsze początki. Napewno postarają się, aby więcej takich pociągów nie doszło do Moskwy.

Nazajutrz pośpieszyłem na miasto, aby się dowiedzieć, co piszą gazety sowieckie o tym wypadku. Oto jak brzmiały komunikaty w pismach sowieckich:

„Wczoraj wieczorem na linii kolejowej Sasow—Riazań na moście kolejowym koło Riazania nastąpiła katastrofa. Wskutek rozszerzenia się toru wykoleiło się 27 wagonów. Runęły one do rzeki i rozbiły się doszczętnie. Środkowy filar mostu uszkodzony. Ruch na tym odcinku będzie przerwany na kilka dni“

— Jak sądzisz — spytałem L. — czy władze sowieckie wiedzą, że katastrofa nastąpiła wskutek umyślnego zamachu?

— Ależ doskonale zdają sobie z tego sprawę, lecz będą milczeć, bo nie chcą, aby ludność i zagranica dowiedziała się o zamachach na pociągi sowieckie.

— A ludność w Riazaniu zdaje sobie z tego sprawę?

— Doskonale.

— Ile już takich zamachów było?

— Kilkanaście.

Później od swego towarzysza dowiedziałem się, że zamach na pociąg obliczony był na podniecenie strajkujących robotników w fabrykach włókienni-

czych w Riabińsku. Liczono na to, że strajk rozszerzy się i na inne fabryki i że władze sowieckie będą miały z nim duży kłopot.

Ale bolszewicy załatwili się ze strajkującymi po swojemu. Fabryki obsadzono wojskiem, delegatów robotniczych aresztowano, przewieziono do Moskwy i osadzono w G. P. U. na Łubiance. Na drugi dzień delegatów rozstrzelano, a robotników przy pomocy bagnetów zapędzono do pracy. Tak krwawo i bezwzględnie tłumią strajki robotnicze u siebie Sowiety.

Najlepiej o terrorze bolszewickim świadczą cyfry z więzień.

W r. 1928 liczba więźniów przekroczyła trzy miliony, nie licząc zesłańców na Sołówki i w głąb Azji. Ponieważ na każdego więźnia Sowiety przeznaczają 3 ruble 90 kopiejek miesięcznie, a na każdego zesłańca 5 rubli miesięcznie, wydatki na więzienia wynoszą setki milionów i co roku się zwiększają. Ileż to pieniędzy muszą Sowiety wycisnąć ze społeczeństwa, aby utrzymać więzienia!

Ale nie mniejsze miliony idą na olbrzymią sieć szpiegowską, rozpostartą po całej Rosji, oraz na propagandę zagranicą.

Siódmego dnia po zamachu kolejowym wróciłem do Penzy.

Podczas strajku włókienniczego w Łodzi (r. 1928) komuniści sowieccy urządzali zebrania we wszystkich fabrykach, na których nawoływali robotników rosyj-

skich do zbierania składek na strajkujących w Łodzi. W Penzie urządzono także takie zebranie.

— Towarzysze! — wołał na nim komunista z fałszywym patosem — wszyscy wiecie, w jak ciężkich warunkach znajduje się robotnik polski. Dziesiątki tysięcy robotników polskich mrze z głodu. Kapitałiści polscy łamią ośmiogodzinny dzień pracy, wyzyskują robotników. Robotnicy łódzcy pod komendą komunistycznych organizacyj w Polsce upominali się o swoje prawa. Zastrajkowali. Trzeba im pomóc pieniądze. Opodatkujmy się i pošlijmy pieniądze robotnikom polskim.

Przemówienie komunisty przyjęto spokojnie i chłodno. Awantura zaczęła się dopiero wtedy, gdy zabrał głos jeden z robotników.

— Chociaż nie byłem w Polsce — zaczął mówca to wiem dokładnie, że robotnik polski jest lepiej uposażony, anizeli my. Nie rosyjski polskiemu, a polski rosyjskiemu powinien dopomóc.

Zaledwie mówca wypowiedział te dwa zdania, gdy zorganizowana banda komunistów zaczęła gwizdać i krzyżeć. Robotnikowi nie pozwolono dalej mówić.

Znowu zabrał głos komunista i krzyknął:

— Kto przeciw składce na strajkujących robotników w Łodzi, niech podniesie rękę.

Zaledwie kilku robotników zdecydowało się na podniesienie ręki. Większość ze strachu milczała.

Robotników głosujących przeciw składkom za-

pisano na t. zw. „czarną listę“ i wyrzucono ich z fabryki, a tego, który śmiał zabrać głos przeciw składkom, aresztowano.

Natomiast po wypłacie potrącono przymusowo składki wszystkim.

Podobne zajścia miały miejsce i w innych fabrykach na terenie całej Rosji. Przymusowo opodatkowywano robotników nie na pomoc robotnikom w Łodzi, lecz na agitację komunistyczną w Polsce. Pieniądze przesłane na agitację komunistyczną do Polski zostały ukradzione robotnikowi rosyjskiemu. Gdyby macherzy komunistyczni w Polsce byli uczciwi, nie przyjęliby tej wymuszonej ofiary.

* * *

Dnia 1 listopada 1928 r. zostałem ponownie aresztowany. Znow wtedy do mego mieszkania wtargnęło dwóch czekistów. Po przeprowadzeniu szczegółowej rewizji w mieszkaniu odstawili mnie do G. P. U. a stąd do więzienia.

Zanim mnie aresztowano otrzymałem zawiadomienie z Czerwonego Krzyża, że dnia 29 września władze sowieckie udzieliły mi pozwolenie na wyjazd do Polski. W penzeńskim G. P. U. okazałem to zawiadomienie, domagając się umożliwienia wyjazdu do kraju.

— Nic mnie to nie obchodzi — odrzekł urzędnik G. P. U. — mogli ci dać pozwolenie na wy-

jazd 29 września, ale ja dostałem rozporządzenie z późniejszą datą, aby cię aresztować.

— Któż takie rozporządzenie wydał?

— Centralne władze G. P. U.

Więzienie, w którym mnie zamknięto, nie było tak okropne jak poprzednie w Mińsku i na Sołowkach, bo przynajmniej nie zmuszano w nim do ciężkich robót. Jednakże było ono ciasne i brudne. Zbudowane jeszcze za czasów carowej Katarzyny Wielkiej, było ono przeznaczone dla 72 ludzi. G. P. U. umieściło w niem 620 więźniów. W każdej celi, przeznaczonej dla dwóch ludzi, siedziało po 10 do 20 więźniów.

Zaduch w tych klitkach był tak straszny, że trudno tam było wysiedzieć. Jednakże musiałem się przyzwyczać.

W więzieniach sowieckich niema łóżek ani pościeli, śpi się na tak zwanych narach, czyli gołych deskach, wzniesionych nad podłogą. Często takie nary budowane są piętrami. W celach więzienia penzeńskiego sześciu więźniów spało na narach, sześciu na podłodze pod narami, a reszta na środku celi. Cele były nieopalane, mimo to było w nich gorąco i duszno. Na ścianach widać było wilgoć. Kiedy wstawaliśmy rano, każdy z nas miał mokrą od tej wigoci bieliznę. To też kto posiedział w tem więzieniu parę miesięcy, musiał nabawić się choroby, przeważnie reumatyzmu. W więzieniu tem nie było szpitala, ani też żadnego per-

sonelu sanitarnego. Chory zdany był na łaskę i nie-
łaskę swoich towarzyszy więziennych. Nie było celi,
w którejby ktoś poważnie nie chorował.

W celi, w której mnie posadzono, siedziało
przed moim przybyciem 16 więźniów, a więc ra-
zem ze mną 17 osób. Więźniowie rekrutowali się
przeważnie z chłopów, choć w naszej celi siedziało
także dwóch lekarzy i trzech popów.

Ciekawiło mnie bardzo za co siedzą chłopci.

— Za podatki, panie — odpowiedział jeden
z nich, a wszyscy to potwierdzili. — Nie mogliśmy
płacić, a w zagrodzie nie było już nic do wzięcia,
więc nas aresztowano.

— Czy wszystkich was za to aresztowano?

— Trzech z nas siedzi za to, że schwytano
u nich schowane zboże.

— Jesteście pod śledztwem, czy już was osą-
dzono?

— Tak, już osądzono.

— A na jak długo?

— Jedni na 2, inni na 3 lub 4 lata więzienia.

Sądzono ich za kontrrewolucję, ponieważ zda-
niem Sowietów chłopci podrywają niepłaceniem po-
datków byt państwa sowieckiego.

Chłopom tym jednocześnie rząd skonfiskował
cały ich majątek na rzecz państwa.

Jak już wspominałem, siedziało tu także dwóch
lekarzy. Jeden z nich, wenerolog, miał siedemdziesiąt
lat. Szybko zaprzyjaźniłem się z tym staruszkim.

Opowiedziałem mu swój pobyt na Sołówkach. Wzajemnie zato lekarz opowiedział mi o swoim trzyletnim pobycie w obozie koncentracyjnym na Uralu.

— Obecnie siedzę w więzieniu — skarżył się starszy — za nic. Całe moje przestępstwo polega na tem, że napisałem list do jednego z moich kolegów — lekarzy, który podczas rewolucji bolszewickiej wyemigrował do Francji.

— A może w tym liście napisał pan prawdę o Sowietach?

— Ależ, broń Boże. W liście tym jedynie wspominałem, że choć już 43 lata jestem lekarzem i pracowałem w najrozmaitszych miejscowościach Rosji, nigdy tak nie byłem przeciążony pracą jak obecnie.

— Czy rzeczywiście tak wiele osób choruje na weneryczne choroby?

— Statystyka z roku 1927 podaje cyfrę chorych wenerycznie w Rosji na przeszło pięćdziesiąt procent ludności.

— Panie doktorze, to chyba niemożliwe!

— Niestety! Niestety! I ja często nie chcę w to wierzyć, ale moja praktyka lekarska potwierdza te cyfry.

— Strach pomyśleć — zakończył załośliwie doktor — o tem, co będzie. Ja już jestem stary, ale to nowe pokolenie...

Pewnego dnia władze więzienne wezwały doktora do kancelarii więziennej. Po półgodzinnej nieobecności wrócił on do celi, ale jakże zmieniony!

Był blady jak trup, a w oczach zagasłych i smutnych pojawiły się łzy.

— Co się stało, panie doktorze? — zagadnąłem go z niepokojem.

— Przyszła moja sprawa z kolegum sądu zaoczego z Moskwy. Skazano mnie...

— Na więzienie?

— Nie! Na... pięć lat Sołówek.

— W siedemdziesiątym roku życia pięć lat Sołówek! Toż to straszna kara. Nie wytrzyma—przemknęło mi przez głowę—nie wróci już żywy z Sołówek.

— Niech pan powie — żalił się doktor złamany najwidoczniej tym strasznym wyrokiem — za list wysłany zagranicę, za list, nie zawierający żadnej tajemnicy zostałem ukarany pięcioma latami ciężkiego więzienia i to na tych piekielnych Sołówkach.

Nie pomogły jednak żale i skargi. Po kilku dniach wezwano doktora na etap i odprawiono go na wyspy Sołowieckie. Żegnaliśmy go serdecznie i życzyliśmy mu szczęśliwego powrotu, choć każdy z nas w głębi duszy był przekonany, że doktor już nigdy nie powróci do środkowej Rosji.

Po odjeździe doktora przesiedziałem jeszcze w więzieniu do marca 1929. W jego początkach, chcąc przyspieszyć załatwienie mojej sprawy, rozpocząłem trzecią z rzędu głodówkę. Ósmego dnia zjawił się w mojej celi naczelnik miejscowego G. P. U. i we-

zwał mnie do przerwania głodówki, gdyż w najbliższych dniach będę odstawiony do Moskwy.

Gdy wróciłem do zdrowia, wezwano mnie do G. P. U. i oznajmiono, że pierwszym etapem, który wyruszy z więzienia, będę odstawiony do Moskwy. Zanim jednak wyjadę, muszę odpowiedzieć na kilka pytań.

— Dobrze. Proszę pytać — odparłem.

Naczelnik G. P. U. spytał mnie, co mną powodowało, że zwróciłem się do władz sowieckich o pozwolenie na wyjazd z Sowietów do Polski, jakie znam tajemnice państwowe Sowietów oraz czy mam dużo znajomych i krewnych na terenie Bolszewji.

Badano mnie tak parę godzin. Zirytowany wkońcu zażądałem, aby mnie odprowadzono do celi, gdyż jestem głodny.

Nazajutrz powtórnie wezwano mnie do G. P. U. i kazano mi podpisać protokół, który między innymi zawierał następujące pytania:

- 1) jakie zauważyłem braki w ustroju sowieckim.
- 2) co mnie skłoniło do żądania powrotu do do Polski.

Na pierwsze pytanie odpowiedziałem, że zauważyłem sporo braków w Sowietach; na drugie, że tęsknię do ojczyzny i rodziców.

W ten sposób zbyłem i inne pytania.

Gdy spisano protokół, kazano mi go podpisać. Oświadczyłem, że go przedtem muszę przeczytać. I oczywiście odpowiedzi moje były sfałszowane.

Na pierwsze pytanie czekista odpowiedział za mnie w ten sposób: zauważyłem braki w tych urzędach sowieckich, gdzie pełnią służbę byli carscy urzędnicy, którzy swym systemem biurokratycznym umyślnie podrywają ustrój komunistyczny.

Druga fałszywa odpowiedź brzmiała: powracam do Polski, bo stęskniłem się do rodziców, ale jest mi tu dobrze i w najbliższej przyszłości powrócę do Sowietów.

Tak przekręcono wszystkie moje odpowiedzi.

— Ale to nie są moje odpowiedzi — zawołałem.

— Musisz ten protokół podpisać, jeśli chcesz wrócić do Polski. Wybieraj!

Po krótkim namyśle zgodziłem się. Zmęczyła mnie walka z dziczą sowiecką. Przytem tęskniłem bardzo za krajem rodzinnym. Później dowiedziałem się, że każdy więzień sowiecki, którego odsyłano do ojczystego kraju, musiał taki protokół podpisać.

W trzy dni później wysłano mnie etapem do Moskwy. Było to dnia 27 marca 1929 roku. Choć wyczerpany byłem głodówkami i badaniami, a etap był przykry, z radością wsiadłem do wagonu. Jechało nas przeszło 100 osób, z których ja jeden tylko jechałem na wolność.

Po dwóch dniach męczącej podróży przybyliśmy do Moskwy.

Z dworca samochodami przewieziono nas do więzienia zwanego Butyrki.

Osadzono mnie w celi Nr. 52. Był to niewiel-

ki pokój o dwóch oknach, ale zato posiadający aż 73 więźniów-lokatorów.

Po trzynastu dniach pobytu w Butyrkach wezwano mnie do kancelarii więziennej. Sędzia śledczy odczytał mi następujące rozporządzenie:

„Mieczysław Lenardowicz zostaje wydalony jako niebezpieczny element z granic Sowietów. Jeśli jeszcze raz przekroczy granicę, skazany będzie na karę śmierci bez prowadzenia żadnego dochodzenia“.

— Ale to przecież ja prosiłem o powrót do Polski — zauważyłem po wysłuchaniu tego rozporządzenia.

— Prośba twoja była uwzględniona — odparł czekista — ale nowy' materiał, zebrany przeciw tobie, był dostateczną podstawą, aby cię skazać na karę śmierci. Tylko w drodze łaski zamieniliśmy ci wyrok śmierci na wydalenie z granic Sowietów.

Aby jak najprędzej wydostać się stąd, podpisałem protokół i wróciłem do celi.

Piętnastego dnia wezwano mnie na etap i przewieziono z więzienia na dworzec.

W Mińsku kazano mi wysiąść i odstawiono mnie do tamtejszego więzienia.

Trzeciego dnia miejscowym pociągiem zostałem odstawiony do stacji granicznej Niegoriełoje. Tu zaprowadzono mnie do komory celnej i kazano czekać na stosowną chwilę powrotu do Polski.

Po kilku godzinach oczekiwania dwóch żołnierzy wyprowadziło mnie na stację, gdzie stał po-

śpieszny pociąg polski. Krasnoarmiejscy kazali mi wejść do wagonu i zamknęli w ubikacji.

Po kilku minutach pociąg ruszył. Każdy stuk kół oznajmiał mi, że jestem bliżej Polski, że z każdą chwilą zwiększa się przestrzeń, dzieląca mnie od piekła, przez które przeszedłem. Opanowała mnie nieopisana radość a zarazem i niecierpliwość.

Wkrótce pociąg zwolnił biegu. Myślałem, że to już granica. Otworzyłem okno—niestety, na stopniach wagonów stali jeszcze krasnoarmiejcy. Zamknąłem napowrót okno i oddałem się radosnym myślom. Za chwilę pociąg zatrzymał się, usłyszałem jakieś głosy koło wagonów. Niestety, mówiono jeszcze po rosyjsku. Znowu pociąg ruszył i znowu po kilku obrotach na chwilę się zatrzymał.

— Chyba już jestem w Polsce — szepnąłem do siebie. Otworzyłem okno i krzyknąłem z radości— pociąg przejechał już polską bramę graniczną, na której srebrzył się Orzeł Biały, symbol Państwa Polskiego. Zapłakałem z radości, łzy spływały mi obficie po policzkach.

Zacząłem walić we drzwi. Natychmiast zjawiły się polskie posterunki. Zaczęło się badanie.

— Skąd. Nazwisko. Dowody...

Wkrótce pociąg dojechał do Stołpców. Skierowano mnie do komendy policji, a stąd do komendy miejscowego K. O. P-u. Po dłuższem badaniu K. O. P. wysłał mnie do Wilna. Tam, po wylegitymowaniu się, otrzymałem dokument podróży i 20

maja wyruszyłem do Warszawy. Nazajutrz stanąłem na dworcu Wschodnim.

Wysiadłszy z pociągu, płynąłem wraz z falą podróżnych do drzwi wyjściowych. Naraz zauważyłem twarz znajomą. Młody mężczyzna stał na peronie i pilnie przypatrywał się podróżnym.

— Przecież to mój brat cioteczny — szepnąłem sobie.

— Heniek! — zawołem.

Brat cioteczny spojrzał na mnie badawczo i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, wreszcie krzyknął.

— Mietek, to ty! Boże! Boże! Wróciłeś? Jakże się twoi rodzice ucieszą.

Rzuciliśmy się sobie w ramiona, ściskając się aż kości trzeszczały.

— Co słyhać u rodziców? Żyją?

— Żyją, żyją i czekają na ciebie. Wierzyli, że wrócisz.

Z dworca wyszliśmy ostatni, zagadani i zapatrzeni w siebie. Dziś nie mógłbym wytłumaczyć, jak się znalazłem w taksówce i jak dojechaliśmy do domu.

Tu rzuciłem się do nóg rodzicom i płakałem z wielkiej radości, jak dziecko. Jakże byłem szczęśliwy, że Bóg pozwolił mi jeszcze oglądać moich Kochanych Staruszków — zwierzyć im wszystkie cierpienia, jakie przeżyłem w piekle sowieckiem.

Zasiedliśmy w gronie rodzinnem przy stole.

Otoczony braćmi i siostrami, którzy z małych chłopców i dziewczynek powyrastali na młodzieńców i pannice, zacząłem snuć straszną opowieść o zbrodniach bolszewickich, o nędzy i głodzie ludu rosyjskiego, o okropnem zniszczeniu, jakiemu pod rządami tych katów i ciemężycieli uległa Rosja i o katuszach, które współ z tysiącami ludzi przeszedłem.

I Wam, kochani czytelnicy, powtarzam tę opowieść, abyście przestrzegali wszystkich przed złudami komunizmu, który bogatą niegdyś Rosję zamienił w ruinę. Nie wolno nam tej zarazy puszczać do Polskil

